

Jerzy Tynecki

Ryszard Wierzbowski : 1936-1988

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 43, 361-367

1987

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



RYSZARD WIERZBOWSKI

1936 – 1988

Teraz już wiemy. Miał wrodzoną wadę serca. Operacja, którą przeszedł w dzieciństwie – wówczas szczyt sztuki lekarskiej – pozwoliła Mu dotrzeć wieku nie zwyczajnego przy Jego schorzeniu; ale choroby nie usunęła. Tak rzadko jednak się skarżył, a nigdy nie utyskiwał, że nie wyobrażaliśmy sobie, jak bardzo był zagrożony, nawet w ostatnich miesiącach, gdy z coraz większym trudem troszczył się o interesy kolegów, przyjaciół i Katedry, którą traktował jako dziedzictwo Mistrza i Nauczyciela, Profesora Skwarczyńskiego. Odkąd – przed dziesięciu laty mniej więcej, znużony dojazdami na zajęcia zaoczne do Piotrkowa, po raz pierwszy zwierzył się, że źle sobie rokuje, i potem – od trzech lat – gdy zaczął się ratować pobytami w szpitalu, wiadomo było że chodzi o zachowanie tego zdrowia, które Mu jeszcze pozostało. Tak jednak przywykliśmy do tego, że mimo ograniczającego schorzenia starał się pozostać aktywnym, i tak Go potrzebowaliśmy – Jego osobowości, Jego sądu, i Jego nieprawdopodobnej syntonii, że Jego odejście – z którym niektórym z nas nakazywał się liczyć – odsuwaliśmy w najdalszą nieokreśloną przyszłość. Toteż nagły zgon siódmego kwietnia dla wszystkich był wstrząsem. Łagodnym tylko tym jednym: że nie cierpiał.

Był wśród nas kimś wyjątkowym: kimś, kogo się nie krzywdzi nawet zamiarem, bo to jest nie do pomyślenia. W stosunku do siebie był jednak dyskretny. O tym, co zaciążyło na losie – o chorobie i latach okupacji,

nie mówił niemal nigdy. Pozwólmy więc scharakteryzować to Jemu samemu, słowami życiorysu, którymi zaznaczył tylko cień tragedii: „Urodziłem się 26 VIII 1936 w Moskwie, dokąd moi rodzice, Zofia z Zaksów (ur. 1910) i Henryk Blum (ur. 1910) wyjechali w związku z wyróżnieniem pracy ojca na międzynarodowym konkursie architektonicznym i skąd wraz ze mną powrócili do Warszawy, gdzie w 1943 r. zostali zgładzeni podczas likwidacji tzw. «placówki na Narbutta». Z Warszawy zostałem wysiedlony podczas powstania. W 1946 zaopiekowali się mną kuzynostwo ojca, drzy med. Alina z Gelbardów i Józef Wierzbowscy, którzy po wojnie zamieszkali w Łodzi i tu zaadoptowali mnie. Zabieg kardiochirurgiczny w 1948 pozwolił mi kontynuować przerwana na dwa lata naukę szkolną”.

W 1955 r. uzyskał świadectwo dojrzałości w III Liceum Ogólnokształcącym w Łodzi, studia polonistyczne w Uniwersytecie Łódzkim (1955 – 1960) zakończył na seminarium prof. Z. Skwarczyńskiego pracą magisterską *W kościele i kabarecie* na temat dziejów dwóch gatunków polskiej szopki. Wybór tematu wiązał się z literackimi aspiracjami magistranta, uprawiającego twórczość satyryczną w spółce autorskiej Ryszard Marek, do której wносił perfekcję i subtelność stylizacji, uwidocznione m. in. w zbiorze *Seria serio* (Łódź 1966, Wydawnictwo Łódzkie).

Po studiach był w 1960 r. zatrudniony w RSW Prasa w Łodzi na stanowisku redaktora, lecz już w 1961 został asystentem w Katedrze Literatury Polskiej UŁ. Do mniej więcej końca 1967 r. współpracował literacko z kilkoma czasopismami – m. in. ze „Szpilkami”, gdzie (1963, nr 7) polemizował z R. Matuszewskim w sprawie pominięcia w antologii *Poezja polska 1914–1939* wierszy T. Boya-Żeleńskiego – i teatrami, studenckimi i zawodowymi (STS „Pstrąg” i „Cytryna”, Teatrem Nowym w Łodzi). Coraz bardziej skupiał się jednak na twórczości naukowej w zakresie historii literatury i teatru polskiego. Od 1960 r. był szczególnie związany ze środowiskiem naukowym „Pamiętnika Teatralnego”, w którym publikował znakomite studia.

W 1963 r. otworzył przewód doktorski pod kierunkiem prof. Z. Skwarczyńskiego. Rozprawę *Początki szopki literackiej w Polsce* obronił 19 grudnia 1969 r. w Wydziale Filologicznym UŁ (recenzenci: prof. Stefania Skwarczyńska, prof. Zbigniew Raszewski). Opublikował dwa jej rozdziały: I (*Nad genezę szopki satyrycznej. Stan poglądów i*

założenia wstępne, ZNUŁ, S. I, z. 71: 1970) i III (*Nad genezą szopki satyrycznej. Wczesne fakty dziewiętnastowieczne*, „Prace Polonistyczne” 1970). Razem z innymi publikacjami: *Z zagadnień polskiej szopki kołędowej i satyrycznej* (ZNUŁ S. I, z. 41: 1965), *Kształtowanie się poglądów na dzieje szopki* („Prace Polonistyczne” 1965), *Szopka [...] kołędowa* (Materiały do „słownika rodzajów literackich”, „Zagadnienia Rodzajów Literackich” 1972, z. 2), *Szopka satyryczna – polski gatunek teatralno-literacki. Weryfikacja genezy i elementy poetyki* (w: „Z polskich studiów slawistycznych”, S. 4, t. 2: *Nauka o literaturze. Prace na VII Międzynarodowy Kongres Slawistów w Warszawie, Warszawa 1972*) – pozostawił zrab ustaleń dla badań nad szopką kołędową i satyryczną w Polsce podstawowych. Swoim zwyczajem uściślał je do ostatnich dni, postulować więc koniecznie należy, by cały dorobek Ryszarda Wierzbowskiego w tym zakresie został zebrany w jednym tomie, razem z pełną rozprawą doktorską. Bo choć perfekcjonistycznie nie był zadowolony z rozdziałów o szopce dziewiętnastowiecznej i zamierzał je dopełnić, wiedział dobrze, że i tu ma ostatnie obecnie słowo. Zasłużyłem się – zwierzał się jeszcze przez doktoratem. W recenzji zaś habilitacyjnej Z. Raszewski stwierdził zwięźle: „w sprawach szopki polskiej Wierzbowski jako ekspert nie ma rywala”; a hasło „szopka” dla „Zagadnień Rodzajów Literackich” bez wahania określał jako arcydzieło.

Równolegle rozwijały się od 1965 r. oświeceniowe zainteresowania Ryszarda Wierzbowskiego. Wynikły z lektur do celów dydaktycznych z lat 1962–1964, odpowiadały też temperamentowi i predylekcjom, motywowane były też jednak coraz głębiej. Po debiucie w tej dziedzinie (*O dacie powstania Monachomachii*, Spraw. z Czyn. i Pos. ŁTN, 1966) wkroczył m. in. w sporne zagadnienia atrybucji oświeceniowych (*Z problematyki poetyckich replik Adama Naruszewicza. 1. „Daniel Kalwiński” – do sporów o autorstwo wiersza i o genezę strofy stanisławowskiej*, ZNUŁ, S. I, z. 47: 1979). Ale znakomity szkic *Co przedstawia obraz Jana Piotra Norblina „les Marionettes polonaises”* („Pamiętnik Teatralny” 1968, z. 2, uzup. z. 3) wskazywał, że najżywiej obchodzą go tematy, angażujące wszechstronną znajomość kultury epoki: literatury, obyczaj, teatru i – ikonografii. Uzewnętrzniło się to w wyborze tematu habilitacyjnego, to znaczy studiami nad rekonstrukcją zaginionego tekstu pierwotnego i teatralnego kształtu prapremiery *Krakowiaków i Górali*.

Niepomiernie trudny ten temat opracowywany był latami i ujmowany z wielu stron (cóż to były za kwerendy!), nawet wbrew osobistym interesom, bo habilitacja opóźniała się. Nie tu miejsce na ogarnięcie wszystkich publikacji, wiążących się z tym zagadnieniem, gdy jednak Badacz zebrał najważniejsze w rozprawie habilitacyjnej *O Cudzie, czyli Krakowiakach i Góralach Wojciecha Bogusławskiego. Studia historycznoliterackie i historycznoteatralne* (Łódź 1984, Acta Universitatis Lodzianensis), stało się jasne, że rozprawa ta znaczeniem i metodą wykraczająca poza zaanonsowany temat. Zgodnie uznali to recenzenci: Z. Goliński, M. Klimowicz, Z. Skwarczyński; Z. Raszewski, autor monografii Bogusławskiego, traktował habilitanta jak partnera. Rozprawa stała się podstawą świetnego kolokwium habilitacyjnego w dniu 26 października 1984 r., zakończonego uchwałą Rady Wydziału Filologicznego UŁ o nadaniu Ryszardowi Wierzbowskiemu stopnia doktora habilitowanego. Zatwierdzenie tej uchwały przez CKK i w ślad za tym docentura w UŁ były już tylko formalnością.

Ryszard Wierzbowski, jak zauważono w kręgu znawców, trzymał się wiernie niewielu tematów, drążonych stopniowo coraz głębiej z niezrównaną wnikliwością i maestrią. Orientacje miał jednak tak rozległe, że obracał się swobodnie w literaturze także XIX i XX wieku (bawiło Go, że ktoś skrupulatny z komisji habilitacyjnej ocenę tak sformułowaną w jednej recenzji opatrzył ołówkowym znakiem zapytania...), nie licząc trafnie rozpoznanych staropolskich parantel *Cudu Bogusławskiego*. Stale zdarzały się więc wycieczki, bywało – polemiczne: mickiewiczowskie („*Dziady*” i *roztargniona script-girl*, „*Ruch Literacki*” 1966, nr 3), reymontowskie (*O bibliograficznym rejestrze przekładów angielskich Reymonta*, „*Prace Polonistyczne*” 1968; *Z lwowskich i krakowskich kontaktów Reymonta*, tamże; [*O spotkaniu Aurelii i Władysława Reymonta z E. G. Craigiem w 1908 r. we Florencji*], „*Pamiętnik Teatralny*” 1969, z. 1/2) – i tuwimowskie (*Panna Mimosenduft szaleje*, „*Teksty*” 1976, z. 6 – polemika z M. Warneńską; *Łódzkie realia „Kwiatów polskich”. Rekonesans*, [w:] *Literatura i język Łodzi*, Łódź 1979). Wiele takich ekskursów, przygotowywanych jako referaty (o toposie „*teatrum mundi*”; o J.I. Sztudyngerze jako propagatorze lalkarstwa; o roli i miejscu poezji Tuwima) nie zostało opublikowanych; są cenne nawet w stanie nie wykończonym. Krótki pobyt w Århus w Danii w 1986 r. zainteresował Ryszarda Wierzbowskiego stosunkami

literackimi polsko-skandynawskimi; w maszynie pozostała do połowy zapisana kartka maszynopisu zaawansowanego już szkicu.

Przy immanentnie antyrutynicznym stylu pracy, perfekcjonizmie i spowolniającej wszystkie czynności chorobie („gdy Ryszard jedzie, nawet tramwaj zwalnia” – żartowałem jeszcze przed rokiem), przymus potocznie rozumianej kariery uniwersyteckiej bardzo Go obciążał. Od 1970 r. był adiunktem w Zakładzie Literatury Nowożytnej ówczesnego Instytutu Filologii Polskiej UŁ. Po przejściu (1983) na emeryturę prof. Skwarczyńskiego faktycznie kierował Katedrą Literatury Oświecenia, Pozytywizmu i Młodej Polski; nominalnie kierownictwo Katedry objął w roku 1987. Został członkiem ŁTN i wszedł (1987) w skład redakcji „Prac Polonistycznych”. Był również sekretarzem redakcji tomu 17–18 (1982–1983) „Rocznika Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza”. W Oddziale Łódzkim Towarzystwa od 1961 r. przez wiele kadencji był skarbnikiem, sekretarzem i członkiem Zarządu, współorganizując przyjazdy do Łodzi takich prelegentów, jak J. Lewański, Z. Raszewski, M. Klimowicz, J. Błoński, Z. Goliński, J. Jacki, I. Opacki. Z wielkim nakładem starań (wszystko było zawsze organizacyjnie dopięte!) w latach 1977–1979 organizował pod patronatem RO ZNP „Spotkania Uniwersyteckie” – m. in. cieszące się znacznym powodzeniem z K. Dejmkiem i K. Zanussim, a także na tematy łódzkiej plastyki awangardowej i jej zbiorów w łódzkim Muzeum Sztuki oraz nowoczesnej twórczości muzycznej A. Tansmana. Wszystko to jednak w znikomej mierze oddaje Jego postawę prospołeczną: nie to, że życzliwość – wychylenie ku ludziom; koleżeństwo, troskę (skrupulatną!) o wspólne dobro podczas organizowania sesji naukowych, starania o możliwości publikacji dla kolegów. Dwojgu z nich, równie przedwcześnie odeszłym – Aleksandrze Budreckiej i Elżbiecie Wróblewskiej – poświęcił piękne wspomnienia pośmiertne („Prace Polonistyczne” 1982). Sam nie poddawał się; chciał być czynny, a był dla wielu z nas aż nad miarę uczynny. Tropicielem atrybucji – jednemu tylko nie pobił: pisarskiej łatwiznie. Stykając się z nią okazywał sprzeciw, na jaki niewielu potrafiłoby się zdobyć.

Był wymagającym dydaktykiem. Wypromował około trzydziestu magistrów. Gryzł się tym, że rozdaje może zbyt trudne tematy, niepowodzenia magistrantów bolały go. Ale co najmniej jedną trzecią prac doprowadził do poziomu ponadprzeciętnego; jedna, wskazująca

rzeczywiste realia *Na wsi wesele M. Dąbrowskiej i kilkadziesiąt pierwszorzorów występujących w opowiadaniu postaci*, została w skróceniu opublikowana w „Pracach Polonistycznych”.

Miał autorytet, ale w gronie historycznoliterackich indywidualistów, wśród koleżeńskich i przyjacielskich napięć, ministerialnie popędzani do oligarchicznej kariery, obcesowi, skazani na dorywczą recepcję Jego rozproszonych publikacji, w których stosunek tekstu do przypisu jak 1 : 1 i liczne ekskursy były ceną za indywidualność, nie mieliśmy należytej miary Kolegi i Przyjaciela; żyliśmy się z tym że był elementem naszego komfortu. Zdarzała się też prowincjonalna małość i prostactwo. Zabolało Go, gdy wydziałowy pomniejszacz zagadnął: jak na habilitanta jest Pan za mało znany. Dotknęło, gdy w Senacie, rekomendując wniosek o docenturę, nie powiedziano w dyskusji nic nad to, że był wyróżniającym się studentem. W środowiskach jednak, z którymi z wyboru był związany – w „Pamiętniku Teatralnym”, wśród wrocławskich i warszawskich badaczy Oświecenia – widziano Go inaczej. Należy się więc, by zostały ujawnione opinie, tak cudownie Go w trakcie przewodu habilitacyjnego charakteryzujące:

„Ryszard Wierzbowski jest wybitnym humanistą średniego pokolenia. Wszechstronnie wykształcony, czytany, obdarzony zdumiewającą pamięcią, wyróżnia się ciekawością i poszanowaniem szczegółu (co nie zawsze cechuje dzisiejszych humanistów) a jednocześnie rozległością horyzontów i zmysłem syntezy. Nowe metody zawsze go interesowały, natomiast wobec mód naukowych wykazuje chwalebłą odporność. Jest człowiekiem dobrego smaku i niepospolitej samodzielności sądu. Potrafi nieco dziwaczyć, mianowicie wtedy, kiedy wyczuwa problem, a nie jest w stanie od razu go rozwiązać (czy bodaj postawić). W takich wypadkach zdarza mu się popadać w pewną zawilość. Gdy tylko jednak poczuje znów grunt pod nogami, formułuje swoje myśli z imponującą jasnością i przejrzystością, choćby dotyczyły kwestii niezmiernie skomplikowanych. Współpracownik lojalny i uczynny, jest w moim środowisku powszechnie ceniony. Nigdy się nie widziało, żeby się wdawał w jakieś spory natury personalnej. Natomiast może mieć ciężką rękę na widok naukowych pretensji; wtedy bywa niebezpiecznym plemistą” [Z. Raszewski].

Dorobek naukowy Ryszarda Wierzbowskiego ma jednolity charakter, wyznaczony przez metodę badawczą. „Jest to metoda pogłę-

bionego studium filologicznego, operującego mikroelementami tworzywa historycznego i literackiego, w miarę poszerzania tematu zra-
stająca się w szereg rozpraw na miarę monografii ściśle określonego
tematu. Jest to filologia szczególnego pokroju, na takim stopniu
wirtuozerii naukowej właściwie ani przed Wierzbowskim ani przez
współczesnych mu nie uprawiana. Czasami odnosi się wrażenie, że owa
wirtuozeria nie mieści się jakby w przyjętej metodzie” [Z. Goliński].

Takim był Ryszard, pan Ryszard, docent Ryszard Wierzbowski
– emanacją i rzadką mutacją niezwykle wysokiej kultury. Strata jest
tak wielka, że jej rozmiary ujawniać się będą stopniowo. W tej chwili jest
nie do ogarnięcia. Mimo to jednak jakże wielu – w uczelni i poza nią –
jest wdzięcznych losowi, że Ryszard Wierzbowski był wśród nas.

Jerzy Tynecki

